

## Dziewiątki i siedemnastki cz.2

Po zdaniu w lutym wszystkich egzaminów postanowiłem jak najprędzej wyprowadzić się od Małeckiej. Z wielkim trudem zdobyłem adres pokoju do wynajęcia i bez żalu rozstałem się ze swoją dotychczasową gospodynią.

Moje nowe miejsce zamieszkania położone było bliżej centrum, nieopodal parku z małym stawem. Na tej samej ulicy znajdowała się szkoła i ze swojego okna na parterze mogłem do woli obserwować młodzieńskie dziewczęta, idące na lekcje. Przechodziły codziennie tuzinami pod moim oknem, uśmiechnięte i z rozpuszczonymi włosami, a ja zza firanki polowałem nieustraszenie na widok ich delikatnie zaznaczających się pod sweterkami piersi, ich odkrytych, szczupłych nóg, odzianych w cienkie – wszak była już prawie wiosna! - rajstopy, z widoczną podczas marszu wewnętrzną stroną uda, czy ich pośladków wbitych w obcisłe spodnie.

Czasami, gdy obserwowałem którąś ze starszych i ładniejszych uczennic, już prawie dojrzałą, a przecież wciąż jeszcze tętnącą dziewczęcą świeżością, nie mogłem powstrzymać ogarniającego mnie pożądania i posiadałem ją, w wyobraźni, a przecież całkowicie na jawie, bez jej wiedzy, ale nie wbrew jej woli. Stała kilka metrów ode mnie, zajęta rozmową z koleżanką i nieświadoma niczego, a ja tymczasem odkrywałem biel jej piersi i jędrność ud, wchodziłem w jej pełne, ciepłe usta i doznawałem spełnienia.

Obskurny pokój, w którym wtedy mieszkałem, wraz ze swym oknem wychodzącym prawie na wprost szkoły, oddał mi pod tym względem nieocenione usługi. Mieszkanie posiadało jednak szereg wad, z których największą był brak łazienki i związana z tym konieczność korzystania z kranu w kuchni. Ponadto moje stosunki z gospodarzami – małżeństwem emerytów – nie układały się najlepiej. Para ta zadreżczała mnie nieustannymi wyrzutami o zbyt dużą ilość wypalanego gazu podczas gotowania wody na herbatę – po co nastawiam pełen czajnik? - o niepotrzebne wypuszczanie ciepła w czasie wietrzenia pokoju – po co w ogóle otwieram okno? - i o ogromną ilość zużywanego prądu podczas wieczornej lektury – dlaczego czytam po nocy, zamiast spać? Wiezorami zaś moi emeryci urządzali głośne awantury, wypominając sobie różne przewinienia z mniej lub bardziej odległej przeszłości. Zamknięci w swoim pokoju wykrzykiwali na przemian pod swoim adresem rozmaite pretensje.

- Dlaczego ją pierdoliliś? - wrzeszczała ona. - Ty chuju!

Na to on odpowiadał coś w rodzaju: "Bo była młodsza i ładniejsza", czym rozsierdzał ją jeszcze bardziej.

Widząc, jak spędzają czas, co jedzą, jak mieszają margarynę z odrobiną masła i jakim niepokojem napała ich każdy, najmniejszy nawet, wzrost cen, domyślałem się, jak beznadziejne, wypełnione całkowicie troską o najbliższą przyszłość, musi być ich życie i właściwie nie dziwiłem się ani ich skąpstwu, ani rozgorączczeniu. Nie mogłem jednak znieść dłużej tej przygnębiającej atmosfery beznadziejności i biedy, tych ciągłych, uszczypliwych uwag na temat cen prądu, gazu i węgla, tych rozpaczliwych wieczornych kłótni i pewnego dnia, tuż przed końcem miesiąca, spakowałem swoje rzeczy do dużego plecaka i odszedłem stamtąd, nie żegnając się z nikim.

Oczywiście nie miałem dokąd pójść i zmuszony byłem poprosić o pomoc Mirka. Zgodził się po długim namyśle i w ten sposób zostałem piątym lokatorem niewielkiego pokoju w koedukacyjnym domu studenckim. Dysponowałem tym wszystkim, czym pozostali mieszkańcy, oprócz łóżka, które musiałem zastąpić rozłożonym na podłodze materacem.

Możliwości zaśnięcia były jednak i tak poważnie ograniczone wskutek nasilającego się wieczorem ruchu. Z pokoju do pokoju, aż do późnej nocy, wędrowało co wieczór mnóstwo obcych, ale za to wszędzie czujących się jak u siebie, ludzi. Można było spróbować niedostatek snu nadrobić rano, ale prawie zawsze znajdował się ktoś, kto akurat nastawiał budzik na godzinę szóstą, pragnąc zdążyć na ranne zajęcia, gdzieś daleko stąd. Podobnie było z nauką: jeżeli ktoś zamierzał się właśnie uczyć, to inni o tej samej porze przyjmowali gości bądź pili wódkę, w obu wypadkach głośno rozprawiając.

Główny przedmiot dyskusji stanowiły niezmiennie pieniądze. Za najlepszy sposób ich zarobienia zgodnie uznawano handel. Wiszące w korytarzach tablice ogłoszeń pełne były różnego rodzaju ofert kupna i sprzedaży. Znajomi natomiast dostarczali informacji, w którym pokoju można dostać alkohol, a w którym sprzedać dolary. Poznałem nawet człowieka, który dzięki zamienianiu nalepek na butelkach sprzedawał wódkę kolorową jako czystą i tym samym droższą.

- Jak ktoś przychodzi zalany w środku nocy, to nie sprawdza, co bierze – tłumaczył mi z uśmiechem i musiałem przyznać mu rację.

Łazienka na piętrze była wspólna dla kobiet i mężczyzn, ale solidne kabiny natryskowe uniemożliwiały jakikolwiek kontakt wzrokowy pomiędzy kąpiącymi się osobami. Wydawać by się więc mogło, że bliskość między mną a czekającą kiedyś tuż obok na wolny prysznic dziewczyną skończyła się z chwilą jej wejścia do szczelnej kabiny. Jednak ani zamknięte drzwi, zza których dobiegał mnie plusk wody, ani grubość ścian kabiny nie mogły zniszczyć tego poczucia dopuszczenia do pewnej tajemnicy, jakiego nabrałem w czasie krótkiego, wspólnego oczekiwania. Kolor włosów dziewczyny, owal jej twarzy, linia ciała, ciasno opiętego w długi szlafrok, a także jej zapach – wszystko to było mi już znane. Ale przede wszystkim znany mi był cel jej wizyty tutaj, a nawet kolejność poszczególnych czynności, jakie teraz wykonuje. Najpierw, stojąc tyłem do drzwi, rozwiązuje pasek ściskający jej talię i ściąga szlafrok, odsłaniając plecy i dobrze rozwinięte pośladki. Odwraca się bokiem i wiesza szlafrok na małym haczyku. Następnie unosi ręce i spina sobie włosy, odsłaniając białą, smukłą szyję i czyniąc się jeszcze bardziej nagą. Jej pełne, ciężkie piersi unoszą się przy tym, prężniejąc, do góry.

Po tych przygotowaniach przechodzi do czynności zasadniczych: staje w lekkim rozkroku, odkręca kurek i puszcza ciepłą wodę. Stoi tak z odchylną głową, otulona kłębamii pary, niby jakąś półprzezroczystą zasłoną. Strumienie wody głaszczą ją po ciele i sprawia jej to widoczną przyjemność. Po chwili, cała mokra i lśniąca, bierze do ręki mydło i pokrywa swoje ramiona, piersi, brzuch, krocze, uda grubą warstwą piany. Na koniec wchodzi znowu pod strumień ciepłej wody. Piana stopniowo ustępuje, odsłaniając na powrót jej ciało. Trwa to bardzo długo, zupełnie jakby ktoś delikatnie ją rozbierał, pragnąc odwlec w nieskończoność moment całkowitego obnażenia. W końcu staje, naga i pokonana, a resztki piany ściekają jej po nogach.

Nie musiałem wcale tego oglądać, aby wiedzieć, że tak właśnie było. Poszczególne czynności wykonywane przez dziewczynę w kabinie obok jawiły się w mojej wyobraźni z taką ostrością, jakbym był ich naocznym świadkiem. Kolejne sekwencje obrazów następowały po sobie - ... dziewczyna pokrywa całe ciało warstwą piany, a potem splukuje je, stojąc w rozkroku pod prysznicem... - a silny strumień wody drażnił moje zmysły, przynosząc w końcu pełne ukojenie.

Spotkałem ich w parku: niski mężczyzna z dzieckiem i psem na smyczy. Pies był duży i ładny. Chart. Zawsze lubiłem psy i ten spodobał mi się od razu. Gdy byłem już blisko, podszedł do mnie i pozwolił się pogłaskać.

- Podoba się panu? - zagadnął właściciel, widząc moje zainteresowanie.

- Tak, bardzo ładny – odparłem.

- Może go pan wziąć – oznajmił niespodziewanie, podając mi koniec smyczy.

Wydało mi się dziwne, że ktoś chce oddać nieznajomemu odchowanego psa.

- Chce mi pan go dać? - spytałem z niedowierzaniem.

- Tak – odpowiedział.

- Dlaczego?

- Brudny jest, wyprowadzać go ciągle trzeba. A ja nie mam czasu.

Spojrzałem na psa. Istotnie, brzuch i łapy miał mocno zabrudzone.

- To po co pan go kupował? - spytałem znowu.

- Dzieciak chciał – mężczyzna wskazał głową na milczącego chłopca o smutnej twarzy.

Stałem niezdecydowany, nie wiedząc co robić. Właściciel psa dostrzegł moje wahanie.

- Niech go pan weźmie – nalegał, usiłując jednocześnie wcisnąć mi smycz do ręki.

- Nie mogę – broniłem się. - Nie mam warunków.

- Daleko pan mieszka? - zapytał.

- Nie – podałem mu nazwę ulicy.

- To blisko – ucieszył się. - Niech go pan weźmie.

- Naprawdę nie mogę. Mieszkam w akademiku. Nie wolno tam trzymać psów – argumentowałem. - Poza tym jest nas pięciu w pokoju. Nie byłoby już miejsca dla psa.

- To co mam z nim zrobić? - mężczyzna nie dawał za wygraną.

- Niech go pan odda do schroniska – zaproponowałem przekonany, że to załatwi sprawę. Robiło się późno i chciałem już odejść.

- Nie przyjmują. Mają już bardzo dużo psów – powiedział mężczyzna.

Zacząłem się niecierpliwić.

- Może ktoś z rodziny by go wziął? - poradziłem jeszcze. - Musi pan popytać.

- Pytałem. Nikt nie chce psa.

Zrobiłem powoli kilka kroków. Cała ta sprawa z psem drażniła mnie coraz bardziej.

Mężczyzna widząc, że chcę odejść, powiedział nagle:

- Chyba będę musiał wywieźć go gdzieś do lasu i zostawić.

Czułem zmęczenie i głód. Spojrzałem jeszcze raz na psa, na jego właściciela i na chłopca i zacząłem iść alejką przecinającą park. Myślałem o obiedzie w barze mlecznym na rogu, o wieczornej lekturze. Było już późno, więc przyspieszyłem kroku.

Najkrótsza droga do baru wiodła przez duże przejście podziemne. Po zejściu na dół poczułem nagły chłód. Silny przeciąg sprawiał, że w przejściach podziemnych było zawsze zimno, niezależnie od temperatury panującej na zewnątrz. Liczni przechodnie przeciskali się w pośpiechu ku wyjściu. Kilka osób stało pod jedną ze ścian i oferowało do sprzedaży jakieś drobiazgi. Obok nich, na najniższym stopniu schodów, siedział niemłody już mężczyzna z podniesionym kołnierzem płaszcza. Jedną rękę schował do kieszeni, w drugiej natomiast trzymał przytknięte do ust organki, próbując grać na nich jakąś melodię. Ale nikt nie zwracał na niego uwagi.

Bar, jak zwykle w porze obiadowej, wypełniony był ludźmi. Zamówiłem naleśniki z serem i kompot i usiadłem przy stoliku w rogu. Dwa stoliki dalej siedział starannie ogolony mężczyzna w wieku około trzydziestu lat i przeglądał gazetę. W tym momencie do baru wszedł mały, najwyżej ośmioletni chłopiec

o śniadej cerze; w dłoni trzymał wymiętą kartkę papieru. Widziałem go nieraz przed barem bawiącego się z rówieśnikami, a także tutaj, w środku, jak chodził z karteczką od stolika do stolika, prosząc o pieniądze. Mówił po polsku, nie wiem więc, dlaczego porozumiewał się w ten dziwny sposób. Długo stał w przejściu, rozglądając się po wnętrzu baru. Większość klientów stanowili studenci i emeryci i chłopiec wiedział, że nie może na nich liczyć. Wreszcie dokonał wyboru. Zdecydowanym krokiem podszedł do owego schludnie wyglądającego mężczyzny z gazetą i położył przed nim zapisaną karteczkę. Mężczyzna przeczytał ją i, wyprostowany, oparł się o poręcz krzesła. Następnie powoli zwinął gazetę w rulon i szybkim ruchem przedramienia uderzył nią chłopca w twarz.

Po upływie dwóch tygodni kolegom Mirka zbrzydła moja obecność i zaczęli mnie bojkotować. Wytrzymałem w tej atmosferze jeszcze kilka dni, a potem na nowo rozpocząłem swoją wędrówkę, prawie codziennie zmieniając miejsce noclegu. W końcu wylądowałem na dłużej u Tomasza.

Akademik, w którym mieszkał, położony był pośród ciemnych, nigdy nie odnawianych kamienic, które ciągnęły się długimi rzędami wzdłuż wybrukowanych ulic, skrywając na swych tyłach zaśmiecone podwórka. Na jednym z tych podwórek, niedaleko stąd, znaleziono niedawno nagie zwłoki młodego mężczyzny. Metalowy pręt, którym go zatłuczono, miał wetknięty w odbytnicę.

Następnego dnia po moim przybyciu urządziliśmy w pokoju małą imprezę. Stopniowo przybyło jednak kilka dodatkowych osób i w rezultacie zabrakło alkoholu. Zeszliśmy z Tomaszem na dół, ale portierka bezradnie rozłożyła ręce.

- Nie mam nic, panowie – oznajmiła.

Było już późno, a jedyny w Mieście nocny sklep znajdował się daleko stąd. Tomasz nie tracił jednak głowy.

- Trzeba będzie skoczyć na melinę – powiedział. - To zupełnie blisko. Pięć minut i jesteśmy z powrotem.

Zgodziłem się i wyszliśmy na ciemną i pustą ulicę. Za rogiem Tomasz zatrzymał się przed zniszczoną fasadą jednego z budynków.

- To tutaj – rzekł. - Facet nie bierze drożej, tylko z każdej butelki odlewa sobie pięćdziesiątkę.

Przeniknął nas panujący wewnątrz chłód. Światło oczywiście nie działało. Wspięliśmy się ostrożnie po stromych, ledwo widocznych schodach na piętro. Z umieszczonych w korytarzu ubikacji rozchodził się przykry zapach. Tomasz zapukał mocno w grube, drewniane drzwi.

- Kto?! - rozległ się po chwili kobiecy głos.

- Do pana Władka – odpowiedział Tomasz.

Drzwi uchyliły się i znaleźliśmy się w dużym, słabo oświetlonym pokoju. Na środku stał stół, przy którym siedziało dwóch mężczyzn. Jeden z nich, starszy i tęższy, wstał na nasz widok.

- A, studenci – powiedział. - Ile?

- Dwie czyste – odparł Tomasz i odszedł z mężczyzną w kąt pokoju.

- Innym to wódeczkę, a kolegów to nie poczęstuje – mruknął ten przy stole, ruchem głowy wskazując na stojącą między resztkami jedzenia, już prawie pustą, butelkę denaturatu.

- Zapłacisz, to dostaniesz – rzekł stary, wypijając pierwszą pięćdziesiątkę.

Ale ten przy stole nie odpowiedział.

- Siadaj – zagadnął, spoglądając na mnie. – Częstuju się. Miał ogorzałą, kontrastującą z jego jasnymi włosami, twarz.

- Nie, dziękuję – odparłem, zajmując wolne krzesło.

- Wiktor! - blondyn zwrócił się nagle w stronę stojącej pod ścianą kanapy. - Wstawaj, mamy gościa!

Dopiero teraz spostrzegłem, że na kanapie, zagrzebany w jakieś koce, leży trzeci mężczyzna. Na powtórne wołanie blondyna wstał i podszedł do stołu. Był wysoki i chudy, z błyszczącymi oczami i pokrytą rzadkim zarostem twarzą.

- Przywitaj się, Wiktor – powiedział blondyn. - To student.

- Student? - powtórzył zagadnięty. – A to znasz? - zwrócił się do mnie i zaczął recytować: - "Marność nad marnościami, powiedział kaznodzieja; marność nad marnościami, i wszystko marność. Cóż za pożytek ma człowiek ze wszystkiej pracy swej, którą prowadzi pod słońcem? Jeden rodzaj przemija, a drugi rodzaj nastaje; lecz ziemia na wieki stoi. Słońce wschodzi, i słońce zachodzi, a spieszy się do miejsca swego, kędy wschodzi."

- To chyba z Biblii – odparłem niepewnie.

- Tak, z Biblii – potwierdził Wiktor, po czym rzekł: - Szatan nie istnieje. Powiedz mi, czy to możliwe, żeby Bóg w swej dobroci stworzył szatana, zło...?

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć, ale z kłopotu wybawił mnie Tomasz, mówiąc, że musimy już iść. Pożegnaliśmy się i poprzez chłód kamienicy wyszliśmy w mrok.

Na drugi dzień wstaliśmy zbyt późno, aby iść na zajęcia. Postanowiliśmy za to wybrać się na piwo. To-

masz zaprowadził mnie w pobliże parku miejskiego. Tam, w otoczeniu drzew, stała drewniana будa z małym otworem, przez który podawano napełnione piwem kufle. Nie widziało się nigdy twarzy ludzi pracujących wewnątrz, zawsze tylko te anonimowe, jakby do nikogo nie należące dłonie, podające piwo lub liczące resztę. Wciąż tylko te dłonie, nic więcej.

Zajęliśmy jeden z wolnych stolików. Wiosenna pogoda sprawiła, że mimo stosunkowo wczesnej pory było już tutaj sporo ludzi. Najwięcej hałasu robiła grupa podpitych mężczyzn, siedzących po drugiej stronie placu. Mieli ciemne, ogorzałe twarze, z których biła pewność siebie. Przebywali tu najprawdopodobniej od samego rana, pijąc piwo zmieszane z tanim winem. Co jakiś czas któryś z nich odchodził parę metrów, aby się wysikać pod jednym z drzew.

Maskotką tego towarzystwa był – zwany przez kompanów Jasiem – niski, otyły mężczyzna o nienaturalnie wykrzywionej jednej połowie twarzy. Tomasz, który przychodził tu czasami, powiedział, że to wariat. Czegokolwiek by Jasiu nie zrobił, wywoływało to wśród jego kumpli głośny aplauz. Śmieszyło ich wszystko: jego niezrozumiały dla nikogo bełkot, grymasy i niezdarne ruchy. Droczyli się z nim nieustannie, prowokując do jakiegokolwiek reakcji, a gdy ta wreszcie następowała, kwitowali ją głośnym śmiechem. W zamian za dostarczaną rozrywkę od czasu do czasu stawiali swojemu pupilowi kufel piwa. Niekiedy jednak musiał on radzić sobie sam. Tak było na przykład teraz.

- Jasiu, idź sobie po piwo – powiedział ktoś z grupy.

Na te słowa Jasiu wstał ociężale i zaczął obchodzić stoliki, wytrzeszczając przy tym swoje przekrwione oczy. Ci z siedzących, którzy wiedzieli o co chodzi – a była ich większość – chowali przed nim swoje kufle lub przykrywali je dłonią. Jasiu przeszedł więc wzdłuż całego placu, zbliżając się w końcu do stolika stojącego obok naszego. Siedziało przy nim dwóch młodych mężczyzn zajętych rozmową i niczego się nie spodziewających. Jasiu podszedł do jednego z nich i, zanim ten zdążył zareagować, włożył mu do napełnionego przed chwilą kufła swój palec wskazujący.

Zwykle zde gustowany amator piwa rezygnował z dalszej konsumpcji, a dumny ze swego wyczynu Jasiu wracał triumfalnie z kuflem w ręce do swoich i zabawa na tym się kończyła. Tym razem jednak było inaczej. W zaskoczonym przez Jasia mężczyźnie wezbrała wściekłość tak silna, że nie był jej w stanie powstrzymać.

- Coś ty kurwa zrobił?! - krzyknął.

Później podniósł się gwałtownie i zdzielił Jasia pięścią w twarz. A potem jeszcze raz. Jasiu stał zdziwiony, mrugając powiekami. Z nosa cienką strużką ciekła mu krew. Rozejrzał się oszołomiony i bezradny jak dziecko, szukając wzrokiem kumpli. Ci błyskawicznie zerwali się na równe nogi i podskoczyli do mężczyzny, wywracając po drodze kilka krzesel.

- Kalekę bijesz? Kalekę? - wołał jeden z nich.

Podbiegł blisko do stojącego nieruchomo mężczyzny i spojrzał mu w wypełnione strachem oczy.

- Ty wszarzu – wycedził i szybkim ruchem uderzył go głową w twarz.

Zaatakowanego mężczyznę ten cios jakby orzeźwił. Podniósł się i otarł twarz z krwi. Na wierzchu jego dłoni widać teraz było wyraźną, czerwoną smugę.

- Czego chcecie ode mnie? Odczepcie się! - krzyczał, cofając się i odtrącając próbujące go przytrzymać ręce napastników. Schwytny, począł się szarpać i wyrywać.

- Zostawcie mnie! - wrzeszczał.

Jednego z napastników odepchnął tak silnie, iż ten upadając wywrócił stolik z pustymi kuflami. Leżał tak przez chwilę, potem pozbierał się niezdarnie, podszedł do mężczyzny i rąbnął go podniesionym z ziemi kuflem w nasadę nosa, prosto między oczy.

Mężczyzna bezwładnie osunął się na ziemię.

Nowy pokój, do którego niedługo potem się wprowadziłem, był znacznie lepszy od poprzednich. Mimo to niewiele czasu w nim spędzałem. Nadszedł bowiem maj, a wraz z nim pierwsze upalne dni. Ja-skrawożółte słońce całymi dniami panowało niezagrożenie na wolnym od chmur niebie, dopiero pod wieczór roztapiając się tuż nad horyzontem w intensywnej czerwieni. Ulice Miasta pokryła gruba warstwa kurzu, a w powietrzu unosił się zapach spalin. Ale ja nie zwracałem na to uwagi, zaskoczony ilością odkrytego kobiecego ciała, które, uwolnione nagle z płaszczy, kurtek, swetrów i spodni, zewsząd mnie otoczyło. Godzinami chodziłem po Mieście, nie mając nigdy dość widoku kobiecych ramion i ud, prześwietlonych promieniami słońca sukienek i drżących niespokojnie przy każdym kroku piersi, ukrytych jedynie pod wkładanymi na gołe ciało koszulkami bez rękawów. W którąkolwiek stronę bym poszedł, zaraz kazał mi skręcić, zawrócić lub zatrzymać się inny bodziec, mocniejszy od tego, za którym dotąd podążałem. Wszystko stało się podniętą, bodźcem wyzwalającym moje pożądanie, a ja zamieniłem się w czuły receptor, reagujący na każdy skrawek odkrytego kobiecego ciała. Istniało tylko piękno kobiecych włosów, ust, nóg, piersi, bioder, brzuchów i możliwość obcowania z tym pięknem, czy to poprzez wzrok, zapach, czy też dotyk.

Sz szczególnie lubiłem podpatrywać dziewczęta ubrane w luźne koszulki na ramiączkach. Możliwości, jakich dostarczał uważnemu obserwatorowi tego rodzaju strój, były ogromne. Po raz pierwszy przekonałem się o tym w czytelnicy. Przy stoliku, ubrana w taką właśnie koszulkę, siedziała wysoka, szczupła dziewczyna, najprawdopodobniej studentka. Czytając pochylona się nad leżącą książką, a oba szeroko rozstawione łokcie oparła na stole. Koszulka tymczasem odchyliła się i patrząc od tyłu można było dostrzec sterczące, zakończone brązowym cyplem sutka piersi czytającej.

Sytuacja taka trwała zazwyczaj zaledwie kilka sekund, a czasami było to wręcz tylko mignięcie, krótka chwila. Dla tej chwili jednak opuszczałem zajęcia i całymi dniami włóczyłem się po Mieście, wstępując do rozmaitych sklepów, kawiarni lub na zatłoczone bazy. Czyli wszędzie tam, gdzie przy odrobinie szczęścia można było wykorzystać moment schylenia się kobiety do zajrzenia w głąb jej dekoltu. Ważne jednak było nie tylko to czy dana kobieta nosi stanik, czy też nie, czy bluzka odchyła się bardziej, czy też mniej, jednym słowem nie tylko to, ile zobaczyłem, ale także zaistnienie pewnego stosunku zależności, władzy, realizującego się poprzez fakt wtargnięcia w czyjąś intymność bez jego wiedzy i woli.



Pewnego przedpołudnia, idąc przez rynek, minąłem ładną dziewczynę o krótkich, gładko uczesanych włosach. Przechodząc obok niej zauważyłem, że krój sukienki w jaką była ubrana umożliwia, przy patrzeniu z boku lub z tyłu, oglądanie w całości jej drobnych piersi. Wiedziony impulsem zawróciłem i poszedłem za nią. Nie była jednak sama – obok niej szedł, trzymając ją za rękę, młody mężczyzna. Przeszli wzdłuż pierzei rynku i wstąpili na pocztę, ustawiając się w długiej kolejce do kabiny telefonicznej. Zrobiłem to samo, wzrok mając cały czas utkwiony w kontrastującą z ciemną barwą sukienki biel jej piersi. Gdy tak stałem za nimi, wpatrując się w dziewczynę z bliska i bez ograniczeń, poczułem się jak ktoś, kto odkrywa tajemnicę dotąd skrzętnie skrywaną i zarezerwowaną dla kogoś bliskiego, w tym wypadku dla stojącego obok dziewczyny chłopaka. Od tej chwili ta wydobyta na światło dzienne tajemnica należała już w równej mierze do mnie, jak i do niego.

Odkryłem w ten sposób samo sedno kobiecości, samą istotę płci i dziewczyna stała się w jakimś stopniu moją własnością. Mogłem bowiem w każdej chwili odtworzyć jej obraz w swojej wyobraźni i, całkowicie nad nim panując, upokarzać ją, czerpiąc z niej zadowolenie na wiele sposobów. Mogłem jej kazać zadowolić mnie lub innego mężczyznę na oczach jej ukochanego, a ona, pchana siłą mej wyobraźni, musiała to uczynić. I nieistotne przy tym było, czy pamiętam jeszcze jak wyglądała, jakie ma rysy twarzy, kolor włosów czy kształt piersi. Posiadłem bowiem tajemnicę jej płci i ten moment, kiedy to się stało sprawił, że bezpowrotnie utraciła swoją czystość i niedostępność – podobnie jak pozbawiona czystości zostaje świętość zbrukana dłońmi profana – aby odtąd na zawsze już należeć do mnie. A im bardziej nie zdawała sobie sprawy z tego, co zaszło i im bardziej było to wbrew jej woli – tym bardziej stanowiła moją własność.

Najwięcej przyjemności dostarczało mi jednak jeżdżenie w godzinach szczytu środkami komunikacji miejskiej, zwłaszcza tramwajami. Początkowo zupełnie nie zdawałem sobie sprawy, jakie możliwości stwarza jazda zatłoczonym tramwajem. Różne przypadkowe otarcia i muśnięcia nie robiły na mnie większego wrażenia. Gdy jednak nadeszły gorące, majowe dni, odkryłem, jak fascynująca może być fizyczna bliskość kobiecego ciała, odzianego jedynie w lekki, przewiewny strój. Odtąd dążenie do coraz częstszego i intensywniejszego kontaktu dotykowego z nieświadomymi niczego kobietami stało się moją największą pasją.

Moimi ulubionymi liniami tramwajowymi były: linia numer dziewięć, łącząca centrum Miasta z nowo wybudowanymi osiedlami mieszkaniowymi oraz, przebiegająca w pobliżu miasteczka akademickiego, linia numer siedemnaście. Gdy nadchodziła pora końca lekcji w szkołach lub zajęć na uczelniach, tramwaje kursujące na tych liniach wypełniały się po brzegi wracającymi do domów i akademików młodzieżkami uczennicami i nieco tylko starszymi studentkami. Starłem się wtedy wykorzystać każdą okazję, aby zbliżyć się do którejś z tych dziewcząt i choćby przelotnie otrzeć się o jej piersi lub pośladki.

Podczas tych codziennych podróży wyrobiłem sobie stopniowo specyficzny sposób postępowania, coś w rodzaju taktyki. Największy nacisk kładłem na to, aby każdy bliższy kontakt, każde dotknięcie, przyłgnięcie, a nawet każde najkrótsze muśnięcie wyglądało na zupełnie przypadkowe i niezamierzone, jako

wynik niezależnych ode mnie okoliczności. Zauważyłem bowiem, że kobiety z łatwością wyczuwają męską napastliwość i często energicznie na nią reagują, co oczywiście pociągało za sobą groźbę zdemaskowania. Natomiast, nie wiedzieć czemu, są całkowicie obojętne wobec, jak sądzą, przypadkowości. Wystarczyło więc, patrząc z obojętną miną przez okno, wykorzystać w pełni panujące warunki – tłok, gwałtowne przyspieszenia, nagle szarpnięcia, ostre zakręty – aby osiągnąć swój cel, nadając mu zarazem charakter czegoś przypadkowego i jakby mimowolnego. Częstość wystarczyło po prostu stać nieruchomo pośród gromady tych smukłych dziewcząt o włosach jasnych i ciemnych, długich i krótkich i przyjmować na siebie napór ich młodych, silnych ciał.

Wieczorem w swoim pokoju przeżywałem raz jeszcze poszczególne sytuacje, każdą chwilę bliskości przedłużając w nieskończoność, aż do osiągnięcia spełnienia.

A nazajutrz wyruszałem znowu, napięty i czujny. Większość dnia spędzałem w dusznych, zatłoczonych tramwajach, przemierzając nieustannie te same trasy; wszystko po to, by choć przez moment poczuć na swym ramieniu czy biodrze sprężystą miękkość dziewczęcych piersi lub pośladków. Czasami, zniechęcony już którąś z rzędu daremną jazdą, chciałem zostawić to i odejść. Mówiłem sobie wtedy, że spróbuję jeszcze raz i pchany jakimś impulsem wsiadałem znów do pierwszego z brzegu tramwaju i wszystko zaczynało się od nowa. Bywało, że zła passa nie opuszczała mnie przez cały dzień. Poirytowany chodziłem wtedy tam i z powrotem po przystanku, czekając na kolejny tramwaj, jak na spełnienie danej obietnicy. Całkowita rezygnacja przychodziła mi z trudem, a towarzyszyły jej zawsze złość i wstyd.

Ale nawet po udanym dniu i po wieczornym skumulowaniu całodziennych doznań, często nie czułem się najlepiej. Leżałem wtedy z otwartymi oczami na łóżku i zamiast spokoju ogarniała mnie niechęć do samego siebie i do tego, co robię. Własna słabość, uległość i niemożność zapanowania nad swymi impulsami budziły we mnie poczucie winy. Jednak, mimo składanych wówczas samemu sobie obietnic, że już nigdy więcej, następnego dnia wszystko było jak dawniej. Nie potrafiłem się bowiem oprzeć urokowi tych wszystkich młodych dziewcząt o brązowych od słońca ramionach. Mijały mnie na ulicach: szczupłe i zgrabne, tuż na wyciągnięcie ręki, lecz w istocie nieosiągalne. Wszystkie były obiektem mojej fascynacji i niczego tak mocno nie pragnąłem, jak władzy, absolutnej władzy, za pomocą której mógłbym panować nad każdą z nich. Tylko dysponując taką władzą miałbym szansę odkrycia tego, co najważniejsze: tajemnicy kobiecości.

Nie interesował mnie dar uwodzenia, nawet najdoskonalszy. Uwiedzenie zakłada bowiem dobrowolność, choćby wymuszoną podstępem, a tajemnica ujawniona dobrowolnie traci swą wartość, przestaje być tajemnicą, czymś godnym pożądania i staje się dostępna dla wszystkich. Tajemnicę, a szczególnie tajemnicę kobiecości, trzeba zdobyć, wydrzeć wbrew woli tego, kto jej strzeże, a nawet bez jego wiedzy. Wtedy tajemnica zachowuje swą specyfikę, nie traci nic ze swego nimbu, ze swej niedostępności, mimo że uczyniła nas swymi współposiadaczami i właściwie przestała być tajemnicą.

Patrząc na to, co powinno być osłonięte, dotykając tego, czego nie powinno się dotykać, próbowałem właśnie zbliżyć się do tajemnicy, jako czegoś zastrzeżonego i niedostępnego. Czasami, dzięki jednej kobiecie, skutek jakiegoś niespodziewanego i gwałtownego wdarcia się w jej intymność, udawało mi się to bardziej niż kiedykolwiek. Któregoś dnia na przykład stałem w tramwaju obok młodej, wysokiej kobiety; miała na sobie czarne, obcisłe spodnie i jej pośladki oraz uda były dzięki temu wyraźnie podkreślone, zyskując jakby dodatkową jędrność. Myślałem tylko o tym, aby się o nie otrzeć, choćby wierzchem dłoni, ale brakowało mi pretekstu, by to uczynić. Przejechałem tak kilka przystanków przekonany, że na którymś z nich kobieta wysiadzie i stracę swoją szansę. Tak się jednak nie stało: kobieta w ob-

cisłych spodniach była wciąż obok mnie, a tramwaj, w miarę zbliżania się do centrum, coraz bardziej wypełniał się ludźmi. Na jednym z postojów było tylu oczekujących, że nie mogli dostać się do środka. Zdesperowani natarli całą grupą w zamiarze wywalczenia odrobiny powierzchni. Tłum wewnątrz zafalował i kobieta cofnęła się nagle o pół kroku, napierając na mnie swymi mocnymi biodrami. Byłem pewien, że potrwa to tylko chwilę, kończąc się równie szybko, jak się rozpoczęło. Ale widocznie z powodu zbyt dużej ilości pasażerów nie było już gdzie się ruszyć, bo kobieta przyłgnęła mocno całą powierzchnią pośladków do mojego podbrzusza i najwyraźniej nie miała zamiaru zmieniać pozycji. Ta niespodziewana bliskość jej sprężystego ciała wprowadziła mnie w podniecenie. Przestraszyłem się, że odkryje mój stan, ale mimo to nadal stałem tuż za nią. Oszołomiony dodatkowo zapachem jej świeżo umytych włosów zmieszanych z wonią dezodorantu, jakiego używała, począłem napierać w rytm jazdy, coraz mocniej i mocniej, na uległą miękkość jej pośladków. Trwało to długą, ale jednak nie dość długą, chwilę, bo tramwaj wjechał już do centrum i stopniowo opustoszał. Kobieta w obcisłych spodniach najpierw odsunęła się ode mnie, a w końcu także wysiadła. Przez okno dostrzegłem jeszcze jej obojętną, pozbawioną wyrazu twarz, zupełnie jakby to, co między nami właśnie zaszło, nie miało dla niej żadnego znaczenia.

Nie zdziwił mnie ten widok. Wiedziałem, że cała ta sytuacja była dla kobiety jedynie sumą pewnych przykrych, niezależnych od niej okoliczności – takich jak jazda zatłoczonym tramwajem czy moja bliskość – które należy jakoś przecierpieć i dlatego po prostu ją zbagatelizowała. Oczywiście nie mogła się domyślać, jak mocno w swoim przekonaniu wdarłem się w jej intymność i to pozwoliło jej po wyjściu z tramwaju o wszystkim zapomnieć. Swoim zachowaniem przypominała tę dziewczynę z poczty: dopuszczała mnie w pobliże swej tajemnicy, mając pewność, że nie zdołam przekroczyć granicy intymności, którą zarazem ustanawiała. Postępowało tak wiele kobiet, ale mimo moich starań sytuacja podobna do tej z tramwaju przytrafiła mi się jeszcze jedynie dwa albo trzy razy. Na co dzień byłem zdany na lekkie dotknięcia i ukradkowe spojrzenia, które dawały mi zaledwie przedsmak tego, co niedostępne i które musiałem przeżywać wciąż na nowo, każdego dnia...

Zaabsorbowany swoimi tramwajowymi podróżami przestałem prawie zupełnie chodzić na zajęcia. Groziło to w konsekwencji skreśleniem z listy studentów, ale nie przejmowałem się tym. Jeżeli jeszcze czasami pojawiałem się w instytucie, to na krótko – najdalej po godzinie lub dwóch uciekałem od duszności i nudy sal wykładowych i w towarzystwie Janusza, równie mocno znudzonego kolegi z roku, szedłem na piwo. Rezygnowaliśmy jednak z zatłoczonych, gęstych od papierosowego dymu barów i kawiarni, ponad nie przedkładając ocieniony brzeg płynącej w pobliżu rzeki. Siadaliśmy tuż nad ciemną, chłodną wodą, pijąc powoli kupione w sklepie piwo i rozmawiając o kolegach lub studiach. Opróżnione butelki wrzucaliśmy do wody, patrząc potem, jak oddalają się niesione leniwym nurtem.

Po kilku takich spotkaniach nabraliśmy do siebie zaufania i nasze rozmowy zaczęły w coraz większym stopniu dotyczyć spraw osobistych. Janusz był bardziej wylewny ode mnie, ale też większe w nim były pokłady żalu, rozgoryczenia i silniejsza chęć rewanżu. Pochodził z małego miasteczka, daleko stąd. Rodzice jego pracowali w jakiejś hucie czy kombinacie – dużym zakładzie dającym zatrudnienie niemal wszystkim mieszkańcom. Janusz wraz z rodzicami mieszkał w jednym pokoju z kuchnią. Nie miał ro-

dzeństwa, gdyż jego matka i ojciec zwlekali z poczęciem drugiego dziecka do czasu, aż poprawią im się warunki mieszkaniowe. To jednak nigdy nie nastąpiło i Janusz pozostał jedynakiem. Niezależnie od tej sprzyjającej bądź co bądź okoliczności z całego serca nienawidził tego miasteczka, fabryki, pokoju, w którym gnieździł się razem z rodzicami i prawdopodobnie ich samych. Przez ostatnie lata marzył tylko o jednym: by wyrwać się stamtąd jak najprędzej. I głównie w tym celu zdał na studia, choć przedmiot ich prawie zupełnie go nie interesował.

- Było mi wszystko jedno, co będę studiował – opowiadał – ale zacząć studia musiałem. To był jedyny sposób, aby wynieść się stamtąd bez awantur. Dzięki temu też dostawałem z domu nieco pieniędzy. Ale teraz nie wrócę tam nigdy.

Miasto fascynowało go swoją anonimowością, której nigdy dotąd nie zaznał. Nikt go nie obserwował, nie kontrolował, nie był przedmiotem niczyich plotek, oprócz paru osób właściwie nikt nie wiedział, kim jest. Wynajmował niekrępujący pokój w willowej części Miasta i prawie codziennie urządzał tam głośne imprezy lub sprowadzał różne przygodnie poznane dziewczyny, jakby pragnąc nadrobić stracony pod tym względem czas. Rodzice przysyłali mu jeszcze niekiedy trochę pieniędzy, ale podstawowym źródłem utrzymania była dla niego praca w spółdzielni studenckiej. Osiągnąwszy tak dużą swobodę i samodzielność, Janusz nie wyobrażał już sobie życia gdzie indziej i swoją przyszłość wiązał z Miastem.

Mimo iż różniliśmy się tak bardzo, rozmawiało nam się dobrze. Żaden z nas nie usiłował przekonać drugiego o słuszności wypowiedzianych przez siebie poglądów i obaj umieliśmy to docenić. Po prostu dzieliliśmy się swoimi wspomnieniami, refleksjami i marzeniami, przekazując z nich sobie nawzajem tylko tyle, ile każdy z nas uznał za stosowne. W przeciwieństwie do napastliwych i agresywnych dyskusji prowadzonych często na roku, rozmowy te cechowała pewna wzajemna życzliwość. I choć nigdy nie zostaliśmy przyjaciółmi, to zawsze z żalem żegnałem Janusza, nie wiedząc czy jeszcze kiedykolwiek się spotkamy, by pogadać, przy piwie, na brzegu rzeki...

Gdy w czerwcu pootwierano miejskie baseny, wybrałem się kilka razy na jeden z nich. Nie lubiłem zbyt pływać, ale kąpiel w wypełnionym ludźmi basenie stwarzała znakomitą okazję do ocierania się o mokre, dziewczęce ciała. Ta ciągła bliskość mnóstwa dziewcząt z gładkimi, ociekającymi wodą włosami i z odsłoniętymi, dzięki wyciętym kostiumom kąpielowym, wysoko biodrami robiła na mnie ogromne wrażenie. Pchałem się w największy ścisk, aby jeszcze raz, niby przez przypadek, dotknąć lekko brązowego kobiecego ramienia lub uda. Często też nurkowałem i, patrząc pod światło, oglądałem w górze sylwetkę pływającej dziewczyny. Ściśle dopasowany kostium kąpielowy zlewał się jak gdyby w jedno z jej ciałem, podkreślając wszystkie jego kształty. Było to prawie tak, jakby dziewczyna przed wejściem do wody zanurzyła się w jakiejś niezmywalnej farbie o jaskrawym kolorze. Niby miała na sobie coś, co zakrywało jej ciało, ale tak naprawdę była naga.

W kolejce do drabinek tworzył się zawsze zator i często wykorzystywałem to, by przyłgnąć udem, na sekundę lub dwie, do lśniących od wody pośladków stojącej przede mną dziewczyny. A raz kolejka za-

falowała, ktoś na mnie z tyłu napał i na swych obnażonych plecach poczułem nagle, trwający długą chwilę, nacisk pełnych kobiecych piersi, od których dzielił mnie jedynie cienki materiał mokrego stroju kąpielowego. Musiałem szybko wyjść z wody i położyć się na rozłożonym w trawie ręczniku. Obecność wokół tyłu kobiet o gładkiej, złocistobrazowej skórze nie pozwalała mi jednak odetchnąć. Patrzyłem, jak wychodzą po kolei z wody – niekiedy w białych, zmoczonych kostiumach, spod których przebijała wyraźnie ciemna plama sutka – i jak idą w kierunku swoich koców, by wytrzeć się jak najszybciej i położyć na słońcu. Patrzyłem, jak promienie słońca zlizują ostatnie krople wody z ich twarzy, brzuchów i ud i nie mogłem się oprzeć pragnieniu, aby na oczach wszystkich obecnych tu ludzi po kolei każdą z tych dziewczyn, wnikając w ich ciepłe, wilgotne ciała. Chciałem zobaczyć to upokorzenie malujące się na twarzy kobiety zmuszonej jakąś przemożną siłą, jakimś stosunkiem poddaństwa czy zależności, do oddania się obcemu mężczyźnie w obecności całego tłumu. Pragnąłem, by znalazł się choć jeden mężczyzna, zupełnie bezsilny i poniżony widokiem tego, jak zanurzam się cały w jego kobiecie i przelewam w nią swoje życie. Stałem obok tego mężczyzny i patrzyłem jego oczami na to, do czego zmuszona zostaje bliska mu kobieta, wczuwałem się w jego sytuację, stawałem się nim i byłem upokarzany tak jak on.

Niesiony tym wyobrażeniem szedłem do przebieralni i rozbierałem się do naga. Czasami w ściankach przegradzających poszczególne kabiny znajdowałem szpary, przez które można było zajrzeć do pomieszczenia obok. Dwa lub trzy razy miałem nieco szczęścia i udało mi się podglądać jakąś nastolatkę z gołymi plecami. Teraz jednak marzyłem o zamianie ról, o tym, żeby to moja nagość budziła zainteresowanie i była oglądana przez kobiety. Stałem tak na środku, a napięcie wzbierało we mnie i musiałem je rozładować długimi, powolnymi ruchami, podczas gdy obserwujące mnie oczy rozszerzały się, zachwycone siłą mojego spełnienia.

Ostatni pełny dzień mego pobytu w Mieście był równie ciepły i słoneczny jak poprzednie. Zjadłem obiad w barze, a po wyjściu na zewnątrz przystanąłem na placu rynkowym, aby razem ze zgromadzonymi tam gapiami posłuchać melodyjnych dźwięków wydobywanych przez kilku młodych chłopców z jakichś dziwnych, nieznanym mi instrumentów. Skreślenie z listy studentów pozbawiło mnie zarówno środków utrzymania, jak i pretekstu do dalszego przebywania w Mieście. Nie pozostawało mi więc nic innego, poza opuszczeniem Miasta i powrotem do domu.

Zasłuchany w dźwięki muzyki dopiero po chwili przyjrzałem się dziewczynie stojącej przede mną: miała upięte, odsłaniające szyję włosy i szczupłe, chłopiące biodra. Ale moją uwagę zwróciła jej talia, jeszcze węższa od tych szczupłych bioder. Była to talia tak wąska, iż zdawało się, że można ją opleść jedną dłonią. Dzięki kruchości swych kształtów – delikatnej linii szyi, szczupłości bioder, a przede wszystkim wąkości talii – dziewczyna promieniała jakąś szczególną czystością i niewinnością, sprawiając zarazem wrażenie odległej i niedostępnej. Zastanawiałem się nad liczbą i wagą zabiegów, jakie musiałyby poprzedzać zwykły na pozór gest objęcia dziewczyny w pasie, nadając mu charakter długo oczekiwanego spełnienia. Bowiem to, co dla tyłu innych kobiet było powszednie i zwykłe, w odniesieniu do stojącej przede mną dziewczyny nabierało dodatkowych znaczeń, jak gdyby odzyskując utracony wymiar czegoś warto-

ściowego i upragnionego.

Przesunąłem się w bok i dostrzegłem profil dziewczyny. Był również, podobnie jak jej cała postać, drobny i delikatny, nieco może zbyt ostry, za mało łagodny, czyniący ją starszą i dojrzalszą. Spodziewałem się ujrzeć inną twarz, bardziej uduchowioną, o zaokrąglonych rysach, ale nie byłem zawiedziony. Wręcz przeciwnie. Ostre, ale jednocześnie ładne i miłe, rysy twarzy dziewczyny nadawały jej jakąś ziemską egzystencję, dowodziły, że nie jest tworem mojej wyobraźni, lecz stoi tutaj, tuż przede mną, uśmiechnięta i mimo wszystko osiągalna.

Równocześnie z uświadomieniem sobie tego faktu z całej siły zapragnąłem cofnąć się w przeszłość, do czasów, w których miały dla mnie sens gesty dziś już pozbawione znaczenia. Pomyślałem, że przecież jeszcze nie tak dawno byłbym w stanie przez lata całe zabiegać o zaufanie dziewczyny, licząc jedynie na to, że kiedyś, być może, pozwoli mi objąć się w talii. I kiedy nazajutrz siedziałem już w gotowym do odjazdu pociągu, zdałem sobie nagle sprawę, że wspomnienie tej dziewczyny o wąskiej talii jest właściwie jedynym, które chciałbym zachować w pamięci; pozostałe, dotyczące studiów, kolegów, Miasta i moich po nim wędrówek – a więc tego wszystkiego, co od jesieni stanowiło treść mojego życia – nie były tego warte.

Pociąg ruszył, ukazując mi po raz ostatni panoramę Miasta. Patrzyłem na zatłoczone ulice, masywne mury domów i kominy fabryk, by po kwadransie stracić je z oczu. Za oknem rozciągała się teraz spokojna, zalana słońcem równina. Z porośniętych wysoką trawą nasypów dochodził głos świerszczy.

Był początek lata.

Oleśnica 30.10.1992 – 31.03.1993

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

andres, dodano 15.10.2020 15:43

Dokument został wygenerowany przez [www.portal-pisarski.pl](http://www.portal-pisarski.pl).